

Jak zabić pionka

Marek Konka



Genealogia Polska LLC
Warszawa 2023

Warszawa 2023

Wydanie I

Autor: Marek Konka

Skład i łamanie własne



© Wszelkie prawa zastrzeżone, Marek Konka

WSTEP

Nigdy nie miałem ambicji bycia kimś, wyróżniać się pośród innych, czy też bycia na świeczniku. Cokolwiek robiłem, starałem się robić najlepiej jak potrafiłem, nie robiąc zbytniej reklamy wokół własnej osoby. Dotyczyło to w równym stopniu mojej działalności opozycyjnej oraz w szeregach NSZZ "Solidarność".

Tymczasem po wprowadzeniu stanu wojennego zostałem uznany przez Służbę Bezpieczeństwa za osobę, którą należy odizolować wraz z najgroźniejszymi przeciwnikami komunistycznych władz, które dokonały rozdziału figur od pionków na opracowanej przez nich szachownicy.

Wśród tej elity liczącej ok. 5000 osób dokonali kolejnego podziału, na tych, których uda się bez większych problemów kontrolować z uwagi na ich popularność zarówno w Polsce jak i za granicą, oraz na resztę pionków, których opanowanie, z uwagi na ich liczbę i rozproszenie było zadaniem przekraczającym możliwości komunistycznych władz. Tych pionków należało się, według nich, pozbyć wszelkimi, możliwymi sposobami. Jednym z tych sposobów było złożenie „pionkom” propozycji nie do odrzucenia.

11/8/2006

(1) PROPOZYCJA NIE DO ODRZUCENIA

Codzienne przesłuchania przez UB stały się na Białoleśce rutyną. Początkowy strach, kiedy się szło pod karabinami maszynowymi zniknął, i kiedy narastała świadomość, że władze nie mają koncepcji, jak się nas pozbyć, powoli zamieniał się w taktykę jak zdobyć kilka papierosów. Ci, co mieli podpisać deklarację lojalności, podpisali, w większości byli to kryminaliści zatrzymani przy okazji wieców ulicznych, choć zdarzały się przypadki podpisywania „lojalki” również przez działaczy „Solidarności”, w tym wysokiego szczebla jak np Janek Kułaj – przew. ”Rolników Indywidualnych”. 20 lat później okazało się, że współpracujących było więcej, ale to już inna sprawa. Ponieważ sytuacja wydawała się patowa, generał Kiszczał wydał oświadczenie radiowe, że ci, którzy chcą, mogą opuścić kraj bez przeszkód. Nie było jednak mowy o konsekwencjach takiej decyzji. Jednocześnie całkowicie odmienny stał się styl przesłuchiwań przez UB. Gabinet do przesłuchań utworzono w celi. Wstawiono biurko z dwoma krzesłami i dość często, przynajmniej mnie, wzywano na rozmowy. O „lojalce” już zapomniano, a na główny plan wysunął się temat wyjazdu i ewentualnego ”nieszczęścia” jakie przypadkowo może się przydarzyć.

Na Białoleśce miałem parokrotnie możliwość obserwowania przesłuchujących mnie funkcjonariuszy, ale ten był wyjątkowym typem. Przede wszystkim był stały, to znaczy zawsze ten sam. Jak dziś pamiętam jego pół-tysiąc głowę ze starannie zaczesanymi na bokach szpakowatymi resztkami włosów, tłustą twarz z małymi, świecącymi oczkami,

świeżą wyprasowaną koszulę i doskonale skrojony garnitur, spod którego rękawów wystawały eleganckie spinki od mankietów. Inaczej nie można go określić jak „facet od cichego zabijania”. Kiedy wchodziłem zawsze siedział i witał mnie z wyciągniętą ręką mówiąc: „No jak panie Marku, przemyślał Pan moją propozycję?” Ciągłe się wahałem, tym bardziej, że kilka lat wcześniej jako konduktor „WARS” zwiedziłem Europę wzdłuż i wszerz. Nigdy nie przychodziło mi do głowy, żeby opuścić Polskę. Miałem bardzo dobre towarzystwo, dobrze płatną pracę, samochód, mieszkanie, właściwie Zachód nie oferował mi lepszego życia niż to, jakie wiodłem w Warszawie. Eskalacja przesłuchań jednak zaplanowanie wzrastała.

Następne spotkania z tym typem spowodowały, że zacząłem częściej myśleć o bezpieczeństwie bliskich i własnym. Próbowałem gmatwać sytuację problemami ze sprzedażą willi, której nigdy nie miałem, że moja żona się nie zgadza itp, ale z czasem dochodziła do mnie świadomość, że jestem coraz bliżej podjęcia decyzji. Próbowałem dyskutować z kolegami z cel. Część popierała wyjazd, część była przeciwna. Ci co popierali, wyjechali. Ci co nie popierali, jak Michnik, za parę lat całowali się z Kwaśniewskim a przy okrągłym stole chlali z oprawcą Kiszczakiem. Inni, jak mój guru Frasyniuk, czy Lityński czy Celiński czy, czy, czy, skumali się z postkomuną. Inni będą rozgrywali swoje karty razem z bandytami defraudantami i innymi wytworami wczesnej demokracji.

W tym czasie napisałem wiersz do nieżyjącej Mamy, że „to trzeba zacząć wszystko od początku” Wracając do mojego ubeka, postanowiłem po przemyśleniu porozmawiać z moją żoną. Na widzeniu zapytałem Ją, co by zrobiła gdybyśmy musieli wyjechać?

– Będę tam gdzie Ty będziesz – odpowiedziała.

Mój Ojciec ze łzami w oczach nie oponował. Na następnym spotkaniu wypełniłem z ubekiem wniosek paszportowy. Kiedy zwalniano mnie z więzienia byłem przekonany, że zadziałały wreszcie polski i międzynarodowy czerwony krzyż. Ale byłem naiwny.

Na wolności czekał na mnie paszport w jedną stronę z datą wystawienia wcześniejszą niż data zwolnienia mnie z internowania.

(2) JAK PRZEKROCZYŁEM ODRĘ I NYSE ŁUŻYCKĄ

W parę dni po opuszczeniu więzienia odebrałem list polecony z Komendy Stołecznej Milicji Obywatelskiej, gdzie odebrałem paszport na wszystkie kraje świata z prawem jednokrotnego przekroczenia granicy. Jednocześnie zostałem zobowiązany do jak najszybszego opuszczenia kraju. Tak więc rozpocząłem zamykanie pierwszego etapu mojego życia. Najważniejsza była operacja guzka o charakterze czerniaka złośliwego, którego nabawiłem się w więzieniu. Myszy i brud były codziennymi dolegliwościami, więc łatwo było o różne schorzenia.

W tym miejscu chciałbym podziękować lekarzom. W czasie internowania, komisji lekarskich, a po zwolnieniu w czasie pobytu w Instytucie Onkologii, tajnych jeszcze sesji psychologicznych – wszędzie spotykałem się z wielkim zrozumieniem oraz z fachowym i szybkim podejściem do sprawy. Operacja przebiegła pomyślnie i bardzo wesoło. Poproszono mnie bym zacisnął dłoń na uchwycie i trzymał się w czasie operacji. Poprosiłem by doktor poinformował mnie, kiedy mnie utnie rękę, bo się niepotrzebnie będę trzymał. Cały zespół zaczął się śmiać i w tej atmosferze dotrwaliśmy do końca. Dziś, kiedy spojrzę na bliznę na przedramieniu przypominają mi się piękne, ogromne, piwne oczy patrzące znad maski. Tyle mi zostało po czerniaku złośliwym.

Instytut kojarzył mi się także z innym faktem. Otóż kilka tygodni wcześniej byłem tu doprowadzony na badania kontrolne w czasie których miałem tylnym wyjściem wyjść i zwyczajnie zniknąć. Niestety

konwojujący mnie klawisz zabrał papiery na inne nazwisko i nawet nie zdążył mnie rozkuć. Tak to czasami pięć minut może zadecydować o całym przyszłym życiu. Po kilku dniach opuściłem szpital i rozpocząłem wędrówkę po ambasadach.

Sytuacja była skomplikowana, bo nie wiedziałem, gdzie chcę wyjechać. Postanowiłem złożyć prośbę o azyl polityczny w kilku ambasadach, a wyjechać tam, gdzie pierwsi mnie będą chcieli. W tym czasie wnioski o wyjazd składało tysiące ludzi więc w kilometrowych kolejkach stałem w nadziei, że przyjmie mnie Kanada, może USA, może RPA, Szwecja, Francja lub jakikolwiek inny kraj, gdzie można by zacząć żyć od początku. Nie wiem dlaczego, ale nie wchodziły w grę Niemcy. No może dlatego, że moja babcia i dziadek ze strony Mamy zostali rozstrzelani a Ojciec i Mama żony uciekali z transportów do obozów koncentracyjnych. Niestety nie umiałem tego zapomnieć.

Pierwsza odpowiedziała Kanada, ale wszystko trwało bardzo długo, ponieważ dokumenty były przesyłane przez Wielką Brytanię. Rozpocząłem nawet całą procedurę a żona, która była w początkowej ciąży przeprowadzała odpowiednie badania, ale w tym samym czasie otrzymaliśmy pismo z ambasady USA: „Informujemy Pana, że otrzymał Pan azyl polityczny w USA i w związku tym prosimy o przybycie...”

Sprawy nabrały tempa. Pierwszy poszedł samochód, potem pianino, na którym zawsze było 10 paczek extra mocnych na wypadek gdyby mnie zamknęli, następnie kilka drobiazgów. Zapakowaliśmy się w dwie walizki, zbiliśmy z desek klatkę dla psa (piękny boxer-suczka), który był prezentem dla mojej żony na pierwszą rocznicę ślubu. Wydawało się, że nie za dużo się w komunizmie dorobiliśmy po 15 latach pracy, ale wiara w przyszłość oraz wzajemne liczenie na siebie pozwalały optymistycznie czekać na nowe wyzwania. Ostatniego wieczoru

odwiedził mnie były mój dyrektor Oddziału RSW Prasa. Przez cały czas mojej działalności w NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” czułem, że mogę na niego liczyć. Niewielu dyrektorów szło z wiatrem tamtego czasu. Dziękuję.

Na lotnisku żegnali nas najbliżsi przyjaciele, rodzina. Łzom nie było końca.

Jeszcze tylko lotniskowy komunikat i stanęliśmy do odprawy celnej. Zabrano nam wszystkie pieniądze, pozostawiając po 10 dolarów na osobę, zarekwirowane jedzenie przeznaczone na początkowe dni, opieprzono, że robimy kłopot i przegnano do strefy bezcłowej. Od tej pory każdy cent był ważny. Polizałem więc szyby BALTONY i przyrzekłem psu, że już wkrótce będzie we własnym fotelu z cygarem w pysku oglądał komunizm w kolorze. Po kilkunastu minutach IŁ-18 piął się w górę gdzieś do Frankfurtu. I tak oto przekroczyłem Odrę i Nysę Łużycką. Wypity z tej okazji szampan spowodował, że nasz majątek zmalał do 10 dolarów. W przyszłości miałem te pieniądze pomnożyć, ale nie przejmowałem się. W brzuchu Hanki leciała nasza córka KASIA.

(3) W ŁAPACH ZGNILEGO ZACHODU

Coraz dalej zostawał kraj fryzjerów i cieci, coraz bliżej byłem kraju stylistów i ochroniarzy. Lecieliśmy w nieznane, nie było przemysłów. Przede mną jeszcze kupa życia, w którym tyle miało się zdarzyć. W tej podróży najważniejsza była koperta. Duża, żółta, zalakowana koperta, którą dostałem w Warszawie w Ambasadzie, a w której było coś. co było tajemnicą. Nie wolno mi było otworzyć lub zgubić.

Po przylocie miałem ją oddać urzędnikowi imigracyjnemu. Ostatnie minuty spędzałem na przygotowaniu się do przywitania mnie na lotnisku. Polska była na medialnych falach, internowani na ustach całego świata. W myślach widziałem witające mnie tłumy, może wywiady, krótkie przemówienia, kwiaty no jak za Tow. Gierka. Samolot wylądował, wykołował, przeszedłem odprawę celną i ... GÓWNO.

Razem z żoną staliśmy się najbardziej samotnymi ludźmi świata. Siedzieliśmy w poczekalni lotniska – ona z rozpiętymi od spuchniętych nóg kozakami a ja rozglądający się za witającą mnie delegacją. Pomiędzy nami pies i dwie walizki a w kieszeni 10 dolarów, których nie wolno było wydać, bo inaczej by zabrakło.

- Żeby nie wiem co się stało nie wolno ci się ruszyć z tego miejsca, bo inaczej się nigdy nie zobaczymy - powiedziałem do żony i przekroczyłem potężne, szklane drzwi udając się gdzieś do kas biletowych. Od tej pory rozpoczęła się historia, która stała się przyczyną,

że opowiadania te nigdy nie powinny powstać. Przyjaciele, którzy ją znają od dawna namawiali mnie do napisania książki, ale rzeczy toczyły się tak nieprzewidywalnie, że po pierwsze z trudnością było w to uwierzyć, po drugie sam nie ogarniałem sytuacji. Najbliższe 3 miesiące były niewątpliwie najbardziej szokujące, a może i najniebezpieczniejsze w moim życiu.

Gdy udało mi się dotrzeć do kasy biletowej w języku niemiekopolskoangielskim wyjaśniłem kasjerce, że prawdopodobnie jestem przez kogoś poszukiwany, że wylądowałem z Polski, ktoś miał mnie przywitać, ale się minęliśmy, że nie wiem gdzie się udać. Do tego podpieralem się moja funkcja w NSZZ Solidarność. Szybko zrozumiałem, że Solidarność była wczoraj a dziś to ja nie mam gdzie spać i co jeść. Po kilku komunikatach z zachodniego radiowęzła, które nie dały rezultatu moja pewność zaczęła gwałtownie spadać. Wszystko trwało już koło godziny a ja czułem że jestem w jakiejś matni.

Czy pan nie potrzebuje pomocy? Usłyszałem głos zabarwiony wyraźnym akcentem niemieckim. Odwróciłem się i zobaczyłem niskiego szczupłego mężczyznę w płaszczu z kapeluszem na głowie. Miał około 60-ki. Wyglądał jakby znalazł się przypadkowo, bez żadnego bagażu. Opowiedziałem mu w sprinterskim tempie co się zdążyło, że żona jest gdzieś też, ale gdzie to sam nie wiem, że nie wiem jak do niej wrócić, po czym kompletnie poddałem się jego sugestiom. Traktowałem nieznanego jak jakiegoś dobrego ducha, który spadł mi prosto z nieba.

Najpierw odnaleźliśmy moją żonę. Śmiało mogłaby płakać, ale ona nigdy nie płakała w trudnych sytuacjach. Wiedziała, że jesteśmy we dwoje, więc nic nie może się stać. Później poszliśmy do kapelana lotniska, który kiedy się dowiedział o naszych przygodach podreperował nasz budżet 20 markami, a później przy stoliku kawiarnianym

opowiedziałem „mojemu” Niemcowi bardziej dokładnie, co się nam stało. Po krótkim namyśle poinformował nas, że jest bardzo zajęty, że wróci ale nie wie kiedy, a my musimy tu czekać na niego i o nic się nie martwić. Co się też stało.

Ponieważ nasz barek z kawą był na peronie kolejki, czas biegł nam szybko i po około dwóch godzinach wypatrzyłem mojego opiekuna wśród ludzi wysiadających z kolejki. W obu rękach dosłownie taszczył plastikowe torby. Usiadł na chwilę, po czym jakby z gotowym planem rozpoczął działania. Zapytał barmankę czy może skorzystać z telefonu i jak się domyśliłem pytał o różne hotele. Kiedy skończył stwierdził, że wszystko załatwione, zamówił taksówkę w której Saba (nasz pies) zgodnie z przepisami siedziała w szelkach na przednim siedzeniu, a my we trójkę na tylnym.

W hotelu obsługa zapytała co pies lubi jeść, po czym zabrała suczkę na pedikur i kąpiel. Ponieważ dla wszystkich było jasne że jesteśmy w hotelu dla psów, tylko nie dla mnie i mojej Hanki. Staraliśmy się utrzymać powagę i nie kompromitować się w tak gościnnym miejscu. W czasie, gdy Saba zażywała relaksu, Richard (tak miał na imię mój przypadkowy znajomy) zajął się przedstawianiem planu na najbliższe dni.

Była październikowa sobota. Ambasada amerykańska nie pracowała, więc należało przeczekać do poniedziałku. Przy posiłku który wyjął z siatek dowiadywałem się planu na poniedziałek. Richard zopatrzył mnie w mapę Frankfurtu, wyjaśnił gdzie jeżdżą i jakie tramwaje, gdzie jest ambasada amerykańska. Marek - mówił jakby rozkazując - w poniedziałek masz być w ambasadzie nie później jak o 8 rano. A punktualnie o 8.05 ja tam będę dzwonił. Wtedy ty musisz tam być. Na pewno ciebie ktoś wezwie. Wręczył nam osobiste prezenty,

dal

nam

100 marek po czym oświadczył, że śpieszy się do Monachium gdzie mieszka, że hotel jest opłacony do wtorku i żeby być dobrej myśli. Po czym wyszedł. Jedyne wnioski jakie mnie i Hani się nasuwały to to, że mieliśmy nie z tej ziemi szczęście i tyle. Że są jeszcze ludzie na tym świecie.

Nie przypuszczałem, że los zetknie mnie z tym człowiekiem i to nie jeden raz.

W niedzielę dzień był słoneczny, więc postanowiłem piechotą dojść do ambasady. Nie było daleko, więc w powrotnej drodze zmierzylem czas. Resztę dnia spędziłem na spacerze po Frankfurcie, a w poniedziałek byłem gotowy do działania. Punktualnie o 8. usiadłem skromnie na krześle i czekałem na rozwój wypadków. Dokładnie 8.05 na korytarzach zaobserwowałem urzędniczkę która biegając wołała:

– Czy jest Pan Konka? Gdzie jest Pan Konka?

– To ja – powiedziałem.

– Bardzo pana przepraszamy, ale bez naszej winy zaistniała pomyłka. Postaramy się wszystko naprawić, zaraz podstawimy panu samochód. Wiemy, że jest pan z żoną i z psem. Proszę usiąść spokojnie i się nie denerwować, wszystko będzie dobrze – zapewniła.

Obserwowałem ten ruch i nie wierzyłem własnym oczom. Ostatniego takiego bałaganu narobiłem w czasie negocjacji z RSW Prasa, jeszcze w Polsce, ale żeby w ambasadzie amerykańskiej? Poczuję znów, że jestem KIMŚ, ale to nie byłem ja. Tym KIMŚ musiał być ON - mój tajemniczy nieznajomy Richard Kluge.

(4) VITAGENA BAD-SODEN POD FRANKFURTEM

Z hotelu odebraliśmy “SABĘ”, załadowaliśmy nasz dobytek i ruszyliśmy w kierunku Badsoden miasteczka około 60 km od Frankfurtu. Czas biegł bardzo szybko.

Jechaliśmy przepiękną autostradą, od czasu do czasu wyprzedzały nas pędzące mercedesy. Po godzinie zjeżdżaliśmy do miasteczka, celu naszej podróży. Przywitał nas właściciel czterech hoteli z których jeden miał stać się na krótko naszym nowym domem.

– Witamy bardzo serdecznie – powiedział bardzo elegancki pan. – Czy pies będzie siusiał na froncie czy na tyle budynku? – zapytał zaraz potem.

Głupią minę miałem pewnie już od czasu lądowania, więc trudno było się kontrolować. Dlatego pewnie tłumaczka szybko wyjaśniła że pytają mnie, jak pies jest przyzwyczajone się załatwiać, bo na tyle jest trawa a na przodzie ulica. Powiedzieliśmy, że na trawie i otrzymaliśmy pokój z wyjściem na tył budynku. Po rozpakowaniu się, pokazano nam hotel, czyli basen z którego mogliśmy korzystać do woli, stołówkę oraz inne pomieszczenia, jak toalety, kabiny telefoniczne itp. Główne punkty programu miały być omówione następnego dnia przy śniadaniu a na razie dano nam czas na zapoznanie się z okolicą.

Bad Soden było ślicznym miasteczkiem położonym pomiędzy

zalesionymi wzniesieniami. W jednej z dolin położone było centrum miasta. Z Vitageny (tak nazywał się zespół hoteli) do miasta szło się szerokim chodnikiem, mijało się zespół basenów z gorącą wodą i zaraz potem szło się do centrum. Kilka sklepów, trzypiętrowe domy mieszkalne, straż pożarną, dworzec kolejowy, ot jak wszędzie w małych miastach. Od razu rzucało się w oczy jedno: przeraźliwa czystość. Miałem okazję zaobserwować poranne mycie domów. Cysterna z wodą jechała bardzo powoli a człowiek operował wężem z wodą i obmywał domy z kurzu. Ludzie oddawali do sklepów plastikowe pojemniki po jajkach, właściciele psów sprząтали psie kupy w foliowe torebki, było dziwnie i śmiesznie. Dziwnie i śmiesznie do czasu kiedy rzuciłem niedopałek papierosa na chodnik. Przechodzący Niemiec tak ostro mnie zmierzył wzrokiem, że do tej pory pamiętam jego oburzenie. Chcąc nie chcąc przydała się ta lekcja bo od tej pory braliśmy czynny udział w utrzymywaniu miasta w należytej czystości, zresztą nie tylko tego.

Pobyt w Vitagenie był jednym wielkim odpoczynkiem. Posiłki były podawane na stołówce, przy śniadaniach odczytywano aktualne komunikaty, niektóre bardzo oczekiwane np.: kto w następnym tygodniu gdzie wylatuje. Wszystko było opłacane przez USA. Mieliśmy całkowitą opiekę lekarską i dentystyczną a raz w tygodniu otrzymywaliśmy tzw. kieszonkowe, które powinniśmy wydać na przyjemności czy np. na papierosy, a za które można było kupić przynajmniej na dwa tygodnie jedzenia dla rodziny w Polsce. Zgłupiałem do tego stopnia, że wysyłałem zdjęcia zastawionego stołu z kupionymi wędlinami, żeby w Polsce się nie martwili, że nam tu źle. Prawdę mówiąc chyba nigdy, nawet w najwspanialszych czasach PRL-u nie widziałem tak zaopatrzonego sklepu, jak w tym małym miasteczku, nie mówiąc o kolejkach do lady które tu nie przekraczali pięciu osób.

W takich to warunkach dochodziliśmy do siebie znajdując¹⁵

potrzebny nam spokój. Zawiązywały się nowe znajomości, czasem przyjaźnie brutalnie przerywane przez odloty do Stanów Zjednoczonych.

Nie dane mnie było korzystać z tego spokoju zbyt długo. Pewnego wieczoru personel zawiadomił mnie, że jest do mnie telefon.

– Hallo?....

– Dobry wieczór Marek, to ja, Richard. Chciałem się dowiedzieć czy na pewno znalazłeś się w prawidłowym miejscu, bo niedaleko jest też obóz dla uchodźców.

– Wszystko jest w porządku – odpowiedziałem. – Jestem na pewno w Vitagenie.

– A mógłbyś mi podać swój nr kołnierzyka, a wymiary Hanki, a jaki nosi ona nr butów, a jaki ty? – dopytywał.

Chciałem przerwać tę rozmowę, bo zaczynałem być skrepowany. Dochodziło do mnie że zaczynam być zależny albo bezwolny w czasie, kiedy mam z tym facetem kontakt. Po rozmowie wszystko opowiedziałem Hance. Nasze rozważania na temat Richarda szły w jednym kierunku. Byliśmy pewni że chce on uzależnić nas od siebie. Skąd miał telefon do Vitageny, poza tym dzwonił w dobre miejsce a pytał się mnie czy na pewno tam jestem. Znaków zapytania było tak dużo, że powoli znów przestawiłem się na stary styl typu, każdy chce mi zaszkodzić, donieść do UB i że może ten ktoś być nawet dobrym kolegą. Nie ulegało wątpliwości, że wkrótce Richarda zobaczymy. Stało się to następnego dnia. Obdarował nas kożuchami, koszulami, butami, a my wiedząc już kiedy wylatujemy do Bostonu, modliliśmy się żeby ten koszmar się skończył. A on trwał.

Richard zaprosił nas na kolację do swojego pokoju w hotelu, który stał za naszym. Obiecaliśmy, że przyjdziemy.

– Wiesz co Haniu, na tę kolację pójde sam i odmówię, a jeśli nie wrócę za piętnaście minut, zawiadom właściciela, gdzie poszedłem – powiedziałem żonie.

Idąc wieczorem pod górkę do jego hotelu zastanawiałem się co mi się może przydarzyć. Zapukałem, otworzył Richard. Nie zapraszał mnie samego do środka. Powiedziałem że Hanka źle się czuje więc przyszedłem sam.

– To przełożymy to – powiedział – na inny czas.

Zszedłem do nas i w pokoju zaczęliśmy się zastanawiać, o co w tym wszystkim chodzi. Pomógł nam już we Frankfurcie. Dlaczego kontynuował to i to tak szczerze? Dlaczego nie wszystko było prawdą co mówił? Czy tak wyglądają głupowaci filantropi? Najbardziej pasowało mi, że on mnie ustawia i to wraz z żoną do sytuacji, którą próbuje aranżować. Że żadne z nas osobno nie jest dla niego ważne, natomiast oboje w tym samym czasie tworzymy dla niego jakieś zadanie, a może cel? Dochodziłem do najdalej idących wniosków, wniosków z którymi nie chciałem się dzielić z Hanką ze względu na jej ciężę. Ale sam przestawiłem się całkowicie. Zacząłem być bardzo ostrożny. Starałem się umiejętnie unikać go. Po dwóch dniach postanowił wyjechać. Na jego usilną prośbę odprowadziłem go na dworzec kolejowy. Na peronie poprosił mnie bym mu kupił papierosy choć nigdy nie palił. Boże co ja czułem idąc tyłem do niego, a później co czułem idąc przodem. Wjeżdżający pociąg przyspieszył nasze pożegnanie. Wręczył mi przygotowane 600\$.

– Ja ci tego przecież nigdy nie oddam – zauważyłem.

– To nic – odparł. – Pomóż komuś tak jak ja tobie pomogłem.

Ale ja nie czułem, że ta pomoc idzie z serca, dlatego kiedy wsiadł, choć wiedziałem, że te pieniądze się przydadzą to bardzo się cieszyłem że znika z mojego życia. Za dwa dni mieliśmy samolot do Nowego Yorku. „Żegnaj nieznajomy człowieku. Już nigdy się nie zobaczymy” - TYLKO TAK SOBIE MYŚLAŁEM.

(5) ZA KARĘ DO USA

Ostatnie dwa dni spędziliśmy na przygotowaniach do odlotu do USA. Żona musiała przejść ostatnie badania lekarskie. Wszystko w porządku – lekarz zgodził się na przelot Hanki w ciąży. Jeszcze tylko nowa klatka dla psa kupiona w TWA za podarowane nam 600\$ i właściwie byliśmy gotowi.

Ostatnia noc była niespokojna. Myślałem co będzie tam daleko, jak sobie poradzimy i czy w ogóle damy radę. 10 listopada 1982 r rejsowy samolot TWA amerykańskich linii lotniczych wystartował z lotniska we Frankfurcie do Nowego Jorku. Na pokładzie między innymi było kilka rodzin niepokornych, znów z supertajnymi, zalakowanymi kopertami. To były ostatnie godziny wspólnie spędzone razem. Z Nowego Jorku każdy leciał już w swoje wyznaczone strony: California, Texas, Massachussets, Floryda. Później czasami kilka lat trwało odszukanie kogoś z przyjaciół.

Samolot zataczał łuk nad Statuą Wolności podchodząc do lądowania. Kraj imigrantów, stolica śwata. Ile ludzi dałoby wszystko, by móc tu żyć i pracować. Ja przybywałem za karę.

Czyste, listopadowe niebo pozwoliło na oglądanie milionów światełek z domów, biurowców, ulic, autostrad, które zaczęły się powoli ustawiać w rząd wyznaczając jakby kierunek dla lądowania. Pas startowy przyjął nas bardzo łagodnie. Jednym stemplem ustalano kim ja tu jestem, zabrano kopertę i za kilkadziesiąt minut lecieliśmy do Bostonu. Przywitanie w Bostonie pozwoliło nam na odzyskanie pewności siebie.

Przed wszystkim pojawili się przedstawiciele organizacji polonijnych działających na rzecz opozycji w kraju, ludzie wspomagający walkę o niepodległość. Nade wszystko uspokoił mnie fakt, że wśród witających mnie był współtowarzysz więziennej niewoli Zbyszek Padzik. Przyleciał wcześniej do Bostonu i to on był sprawcą, że i ja się tutaj znalazłem.

Zbyszek zaproponował, bym przez kilka dni zamieszkał u niego, bo moje mieszkanie było jeszcze malowane i wymagało drobnych dodatków jak założenie nr. telefonu czy napełnienie baniaka z olejem do ogrzewania. Zgodziłem się chętnie. Wsiadliśmy do potężnego krążownika i ruszyliśmy.

Zbyszek, pomimo, że był w Stanach dopiero miesiąc, sprawiał wrażenie bardzo pewnego, nawet jakby trochę zamerykanizowanego już człowieka. Umiejętnie, - jak wszyscy, rzucał niedopałki po papierosach, puszki po napojach i papiery - wszędzie gdzie stał. Na drugi dzień, kiedy wyszliśmy się przejść, z przerażeniem stwierdziłem że znalazłem się na największym śmietniku świata. Jeszcze nie wiedziałem, że są różne dzielnice i w zależności gdzie się mieszka, takich się ma sąsiadów. Wkrótce przekonałem się na własnym mieszkaniu, do którego wprowadzeń się gdzieś po tygodniu. Wprawdzie było w tej samej dzielnicy, ale okolica zupełnie inna. Żartowaliśmy, że w mojej części się nie strzela. Zbyszek miał dwie wielkie zalety. Jak najszybciej chciał poznać angielski, więc od rana do wieczora chodził ze słuchawkami na uszach, ogromnie kochał własne dzieci, więc kiedy mógł poświęcał im cały wolni swój czas. Za dużo go jednak nie miał, bo po pracy zwał się na wersalkę jak nieżywy i z nogami w górze czekał na następny dzień. Pracował w zakładach mięsnych, jak większość wtedy przyjezdných Polaków. To, czego inni nie wytrzymywali, dla innych było codziennością, wystarczyło tylko pół litra dziennie i można było

pracować. Dzięki znajomości języka szybko zmienił pracę na kierowcę tracka. Później jeździł taksówką, kupił dom i się wyprowadził. Dziś nie mam z nim kontaktu, ale pierwsze miesiące, w których mi pomagał były bardzo pomocne w podejmowaniu ważnych decyzji życiowych.

Na parę dni przed wprowadzeniem do mojego mieszkania miałem już zainstalowany telefon. Akurat byłem w środku, kiedy zadzwonił.

– Halo? Czy pan Marek?

– Tak – odpowiedziałem.

– Czy zgodziłby się pan na udzielenie wywiadu dla radia Wolna Europa? Zbliżają się Święta więc interesuje nas jak pan spędził Boże Narodzenie w wwiezieniu – wyjaśnił głos ze słuchawki.

Wolałem odpowiadać na pytania, które znam, więc bez przeszkód je otrzymałem i umówiliśmy się na inny dzień na konkretną godzinę. Po jakimś czasie otrzymałem czek na 50\$. Tak to za imperialistyczne pieniądze zdradziłem tajemnicę państwową, że Święta spędziłem z myszami. Po paru dniach wprowadziliśmy się z Hanką do naszego pierwszego w USA mieszkania. Ubezpieczenie zdrowotne mieliśmy od Stanu Massachusetts. Pieniądze co dwa tygodnie dostawaliśmy z fundacji opiekującej się imigrantami, opłacono nam szkołę języka angielskiego, zatankowano olej na zimę. Zwieziono nam nadwyżki mebli z prywatnych domów, resztę znaleźliśmy na śmietnikach, które raz w tygodniu były wystawiane przez właścicieli posesji. Ileż tam rzeczy się trafiało. Telewizory, materace, fotele często nieodarte z folii. Po prostu po kupieniu nie pasowały do wystroju wnętrza i właściciele decydowali się ich pozbyć. Właściwie do szczęścia brakowało tylko samochodu, który nabyłem w ciekawych okolicznościach. Hanka wysłała mnie po kapustę. Idąc do sklepu zajrzałem na mizerny placzyk z paroma samochodami. Dość długo przyglądałem się niebieskiemu VW garbusowi.

- Co chcesz może kupić? – zapytał sprzedawca.
- Nie mam tyle pieniędzy – odpowiedziałem.
- A ile masz?
- Mam tylko 50\$.
- To na razie wystarczy – zgodził się sprzedawca.

I tak to, wprawdzie bez kapusty, ale za to własnym samochodem wróciłem do domu. Za całość zapłaciłem 400\$ w ratach miesięcznych po 100\$. W ten sposób mogłem już wyruszać dalej i poznawać okolicę. Okazało się, że mieszkam w bardzo interesującym otoczeniu. Bardzo blisko było jezioro, niedaleko ocean i 7 mil na północ Boston. Pracy jeszcze nie podejmowałem ale nie wynikało to z lenistwa. Postanowiłem, zacząć pracować po urodzeniu się Kasi, głównie chodziło o ubezpieczenie. Poza tym bardzo ważny był język i nie chciałem przerywać szkoły. Tak więc prowadziłem towarzyski tryb życia przerywany od czasu do czasu jakimś wywiadem dla tv lub spotkaniem ze studentami Harvardu, którym tłumaczyłem pewnie bez skutku jak to się dzieje, że w biednym kraju prawie każda kobieta ma kilkanaście par butów, że w sklepach nie ma dosłownie nic a naród nie może wymrzeć. Myślę że oni mnie nie rozumieli a ja ich bo tak naprawdę dopiero po 7 latach pobytu zacząłem pojmować Amerykę. Twierdziłem, że na razie jestem na przedmieściach Ameryki. W marcu urodziła mi się córka, która 23 lata później będzie kończyła University of Massachusetts. Przyszedł moment za rozglądaniem się za pracę.

Do tej pory miałem się różnych zajęć pracując na czarno. Grałem w hotelu na fortepianie, zmywałem garki w restauracji, sprzątałem salon z kręglami. Bywałem tak zmęczony, że nie wyczuwałem kilku schodków na holu. Ale nie przeszkadzało mi to pocieszać żonę, że to jest właśnie to, o co chodzi. Wkrótce podjąłem stałą pracę.

Pewnego dnia zapukało do nas dwóch facetów. Wylegitymowali się jako Agenci FBI, po czym poprosili o chwilę rozmowy. Chodziło o to, że poszukiwali na terenie USA pracownika SB, który na pewno był w Vitagenie jako były internowany i są pewni że wjechał do USA. Powiedziałem co wiedziałem, po czym chętnie zostali na prywatnej kolacji. Nie przypuszczałem że już wkrótce będę ich prosił o pomoc. Na następny dzień była niedziela. Z naszej kuchni można było widzieć drzwi wejściowe i część werandy. Siedziałem w pokoju obok, gdy Hanka przytłumionym głosem powiedziała: „Marek, on jest na werandzie”.

– Kto?

– No ten Richard.

Nogi się pode mną ugięły. Jak ten facet mógł mnie znaleźć. Po co zadawał sobie ten trud? A może żadnego trudu sobie nie zadawał? Jedy-
nym logicznym rozwiązaniem tej zagadki było to, że miał jakiś cel i że za wszystkie koszty nie on płacił. Otworzyłem drzwi i zapytałem:

– A co ty tutaj robisz?

– Przyjechałem na dwa dni. Czy mógłbyś mnie przenocować?

Jego bagaż wyglądał jak podręczny, nie sprawiał wrażenia, że zawitał na długo.

– Wejdź, proszę.

Rozmowa się nie kleiła. Dawałem mu do zrozumienia, że jest niepożądanym gościem, niemniej Hanka posłała mu wersalkę w pokoju stołowym. Sami po schodach udaliśmy się do naszej sypialni. Gwałtownymi szarpnięciami żona starała się dobudzić mnie z głębokiego snu.

- Co się stało, do cholery?
- Słuchaj on nam robił chyba zdjęcia, bo obudziło mnie strzelające światło jakby z flesza.

Ona już zgłupiała dokładnie - pomyślałem, i najciszej jak mogłem podszedłem do schodów. Spojrzałem w dół przez poręcz. Na dole na wersalce siedział Richard udając, że czyta gazetę. Na rękach miał rękawiczki, a obok aparat fotograficzny. Cofnąłem się do łóżka, usiadłem i powiedziałem:

- Nie mam wątpliwości, że on chce nas zabić, tylko nie wiem jak.

Z górnego telefonu z pokoju Kasi zadzwoniłem do Barego. Całą historię poznał kiedy był u nas na kolacji więc opowiedziałem mu ostatnie minuty.

- Nic się nie martw. On jest pod naszą kontrolą. Postaraj się go wystraszyć, żeby wyszedł. Powiedz, że dzwoniłeś do nas.
- Richard - krzyknąłem z góry. – Musiałem zawiadomić FBI.

Zerwał się jak poparzony, złapał swoje rzeczy i opuścił mieszkanie. Daleko nie doszedł. Na ulicy, przed domem czekał na niego nieoznakowany samochód. Robiło się szaro, widniało. Tego poniedziałku nie poszedłem do pracy. Z Hanką postanowiliśmy uczcić stratę. „PRZYJACIELA”.

KONIEC

Marek Konka, Listopad 2006